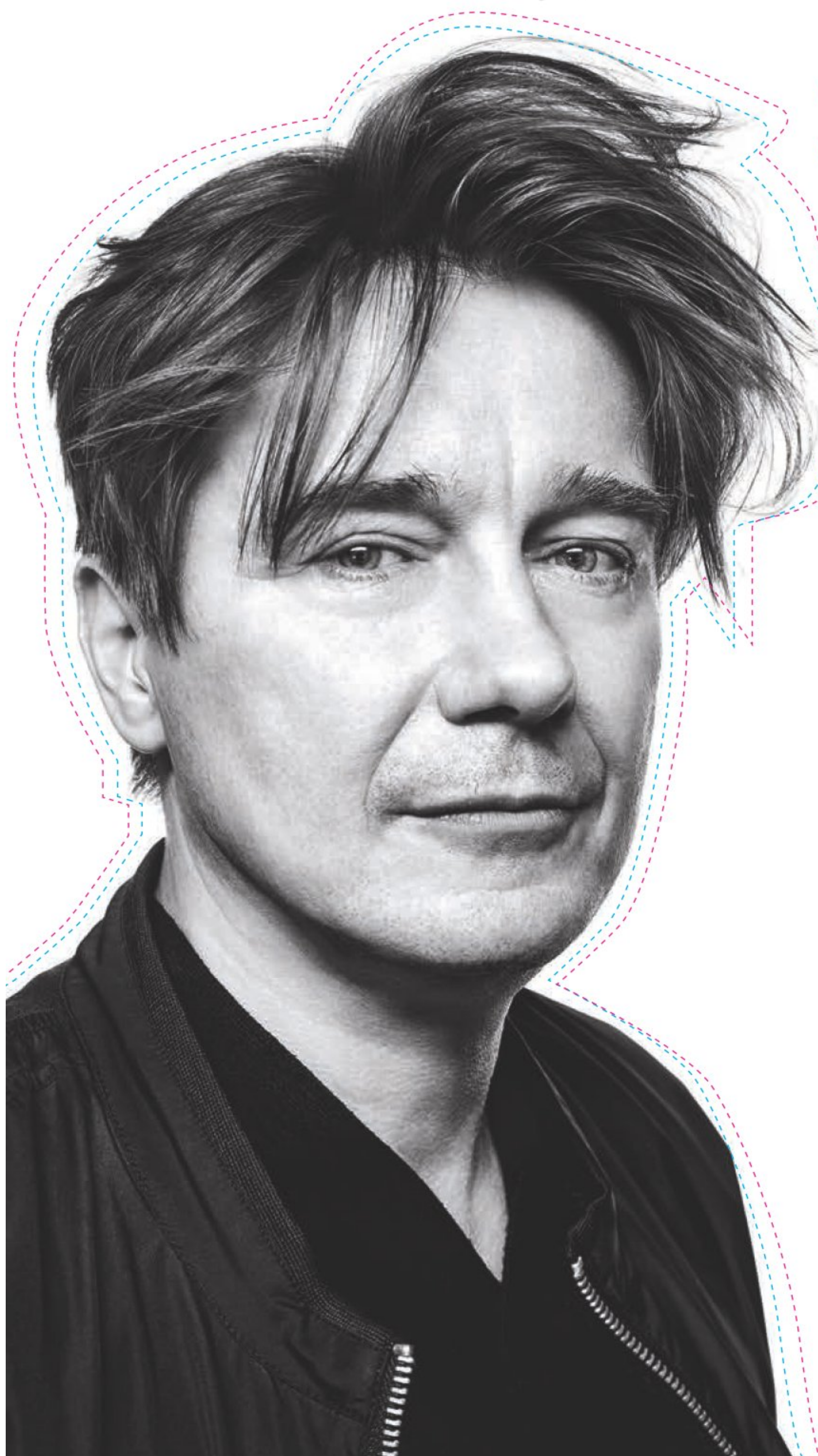


Jacek Hawryluk (Program 2 Polskiego Radia) rozmawia z **Mariuszem Trelińskim**

Hindemith, zbrodnie i ironia

Kryminał w operze

„Cardillac” jest szalonym obrazem świata, który wypadł z torów i nad którym nie ma żadnej władzy ani kontroli – reżyser **MARIUSZ TRELIŃSKI** o operze Paula Hindemitha, którą wystawia w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej



NEWSWEEK: U progu pandemii wystawiłeś „Halke” Moniuszki. Wracasz jeszcze do tamtej premiery?

MARIUSZ TRELIŃSKI: Jej sukces był niespodzianką i zaskoczeniem. Nigdy nie ukrywałem, że muzyka Moniuszki nie jest pierwszą, którą bym wybrał. Dużo lepiej czuję się w bliższych nam czasach, w dziełach Korngolda, Prokofiewa, Szostakowicza, Ryszarda Straussa, w muzyce bardziej wysublimowanej, ekspresyjnej. „Halka” była moim powrotem do początków, do bardziej sentymentalnej wizji świata. Bardzo się bałem, czy nie ugrzęznę w melodramatycznych stereotypach.

Tym razem reżyserujesz operę „Cardillac” z 1926 r., niemieckiego kompozytora Paula Hindemitha. I robisz z niej czarny kryminał.

– Tak, zrobiłem kryminał (*śmiech*). Libretto opiera się na „Pannie de Scudéry” E.T.A. Hoffmanna, jednym z pierwszych opowiadań kryminalnych. To nie tylko wartka akcja i suspense, ale również archetypy i kulturowe klisze potraktowane lekko, które proszą się o znalezienie nowej formuły. To aż prosi się o znalezienie nowej formuły. Zadałem sobie pytanie: w jaki sposób opowiadać ironicznie, groteskowo, z przymrużeniem oka? Od zawsze staram się myśleć w sztuce szalenie serio, szukam ważnych tematów. Jednak wszędzie słyszałem głosy, że jesteśmy zmęczeni pandemią, lockdownem, byciem oddzielnie. W tej sytuacji kamp, ze swoją lekkością i ironicznym nawiasem, to być może teraz jedyny sposób, żeby prowadzić rozmowę. Jak pisała Susan Sontag: „Nie możesz być kamp w stosunku do czegoś, czego nie traktujesz poważnie”.

Historia z dreszczykiem?

– Detektyw, śledztwo, barokowe zbrodnie z ofiarami związanymi w modnym ostatnio japońskim stylu shibari. To wszystko ma w sobie dowcip, bo próby realizacji kryminału w operze są z natury śmieszne. „Cardillac” jest przeciwieństwem „Halki” i jednym z moich najbardziej kolorowych oraz energetycznych spektakli, z chyba najbardziej efektowną scenografią Borisa Kudlički.

Ale przecież nie diamenty i morderstwa są tu dla ciebie najważniejsze. W tej operze jest podskórna historia dotycząca relacji jednostki i społeczeństwa.

– Mówienie dzisiaj serio o dotkliwych problemach odstrasza szeroką widownię, dlatego pewne sprawy trzeba przedstawiać w innym rejestrze, kreować tajemnicę. Nauczyłem się

budować swoje historie wielopiętrowo. Część widzów będzie miała frajdę z podążania za główną, kryminalną opowieścią. Zaproponowaliśmy świat dystopii, akcja rozgrywa się w mieście Paris Sinai, w stylu cyberpunka. Miasto przyszłości jest lustrem. To w nim rzeczy, które dostrzegamy – zwielokrotnione, przeskalowane – znajdują swoje odbicie. „Cardillac” Hindemitha stał się kopalnią wiedzy o naszych czasach.

Kim jest tytułowy bohater (w tej roli wystąpi Tomasz Konieczny)? Artystą jubilerem, hochsztaplerem, geniuszem, mordercą?

– Wszystkim naraz. Nie jest to postać pozytywna. Podoba mi się daleka analogia do Don Giovanniego. Już Mozart wiedział, że gdy ma się do czynienia ze szwarczarakterem, to musi nim być baryton! Wiele osób będzie wiedziało, co mam na myśli. Cardillac to klasyczny przedstawiciel naszych techniczowanych czasów. Rzemieślnik odcięty od świata, który zastępuje relacje ludzkie i płynące z nich emocje oraz empatię pracą: szlifowaniem diamentów, dążeniem do iluzorycznej doskonałości, pracoholizmem. Utrzymuje kontakt jedynie z córką. Jest to jednak relacja zwyrodniała, mamy bowiem do czynienia z figurą obsceniczną – fałszywym ojcem. Dla córki jest geniuszem, ale też potworem, który ją przytłacza, nie przestaje fascynować i od którego nie da się uciec. Nawiązuje łączność z drugim człowiekiem tylko wtedy, gdy zabija. Mamy do czynienia z seryjnym mordercą, socjopatą. Tropimy mroczną sferę życia, która igra z psychiką bohaterów.

Jubiler morderca, choć wyalienowany, jest jednak częścią społeczeństwa. Jakiego?

– Pokazujemy chorobę jednostki i społeczeństwa. W operze ważna jest rola chóru. Gdy kiedyś będziemy mówić o naszych czasach, powiemy „epoka chórów”, czyli mas, które wyszły na ulice: Hongkong, Stany Zjednoczone (Black Lives Matter), Paryż (żółte kamizelki), Polska (Strajk Kobiet). Erupcja gniewu, zanik zaufania do rządzących, ludzie biorący sprawy w swoje ręce i ustalający nowe zasady. To rezultat wyczerpania tradycyjnej struktury władzy, która przestała funkcjonować. Ciekawe, że w tych krajach różne są konteksty polityczne i społeczne, inne punkty zapalne, ale efekt ten sam: ludzie na ulicach domagający się swoich praw. „Cardillac” jest szalonym obrazem świata, który wypadł z torów i nad którym nie ma żadnej władzy ani kontroli. Opowieścią o świecie pozbawionym autorytetu. Można mówić o tym dowcipnie, tak jak w „Czarnoksiężniku z krainy Oz”

„*Cardillac to seryjny morderca, socjopata, który nawiązuje łączność z drugim człowiekiem tylko wtedy, gdy zabija*”

– gdzieś u góry jest uzurpator, mały człowieczek niepanujący nad niczym, karykatura władcy.

Czy pandemia miała wpływ na to, co się dzieje na scenie? Cardillac żyje w odosobnieniu, jakby w lockdownie...

– To koincydencja, bo utwór wybraliśmy dużo wcześniej, gdy nikt nawet nie przypuszczał, co się wydarzy. Czasem niektóre rzeczy zyskują dodatkowy kontekst. Być może realizując operę w innym czasie, spojrzalbym na nią inaczej.

Hindemith nie należy do kompozytorów często wykonywanych w Polsce. Czy „Cardillac” to dobry tytuł na pierwsze spotkanie z jego twórczością?

– To jego najlepsza opera, która w Niemczech uznawana jest za jedno z arcydzieł naszych czasów. Gra się ją w Europie, ostatnio w Antwerpii i Paryżu. W naszym teatrze pokazaliśmy wiele tytułów środka – Pucciniego, Verdiego, ale świat opery się na nich nie kończy. Nie mam wątpliwości, że dla osób, które przyjdą do Opery Narodowej po raz pierwszy, będzie to fantastyczna przygoda. Energia tej historii, jej zmienność, intryga i niezwykła muzyka zniewala. To coś, co trzeszczy w szwach, irytuje i co, drażniąc, pobudza.

To muzyka na swój sposób nowoczesna, choć odwołująca się do przeszłości.

– Właściwie to kolaż stylów. Eklektyczna formuła, w której kompozytor pozostaje wyrazisty i całkowicie swobodny. I do tego nasze kolorowe miasto-moloch, które wznosi się na trzech poziomach, pozostając w ciągłym, filmowym ruchu. Ta narracja może być zaskoczeniem dla ludzi, którzy nie wyobrażają sobie, że opera może iść w tę stronę. A mamy do czynienia z dziełem sprzed stu lat...

Jest też druga, powojenna wersja. Kompozytor próbował zakazać wystawiania oryginału. Na szczęście nie posłuchano go.

– Zaproszenie do wystawienia opery przyszło z Kolonii [to koprodukcja z Warszawą i Madrytem – red.]. Już w czasie pierwszej rozmowy powiedziano mi: „Błagamy, nawet nie myśl o drugiej wersji”. Tak to bywa, że autorzy poprawiają się na gorsze. W kinie często mówimy, że producenci niszczą reżyserów. Reżyserska wersja „Czasu Apokalipsy” Francisa Forda Coppola jest nieporównywalnie słabsza od oryginału. Czasami nie należy słuchać siebie zbyt serio.

„Cardillac” kończy ten sezon w Operze Narodowej?

Na co możemy liczyć w przyszłym?

– „Fidelio” w reż. Johna Fulljamesa w koprodukcji z Duńską Operą Królewską w Kopenhadze – minimalistyczna, wyrafinowana reżyseria, która świetnie skonstruuje patos Beethovena. Basia Wysocka po sukcesie „Toski” pójdzie dalej ścieżką Pucciniego i zrobi „Cyganerię”. Ja zaś wystawię „Borysa Godunowa” Musorgskiego w koprodukcji z operą w Tokio. Partię tytułową zaśpiewa Jewgienij Nikitin, z którym pracowałem już w MET i Teatrze Maryjskim w Petersburgu. Będzie to moja druga inscenizacja tego dzieła. Tym razem chciałbym zrobić monodram, intymny spektakl odwracający epickość Godunowa. Pokazać go jako człowieka. Teraz właśnie nad tym intensywnie pracuję. **N**